

Wspomina Barbara Zakrzewska:



Barbara Zakrzewska

Miałam naprawdę wspaniałych rodziców. Jest to niezwykle cenne... to prezent na całe życie.



Rodzice Barbary Zakrzewskiej Antonina i Tadeusz (pierwszy od lewej)

Moja mama pochodziła z okolic Lwowa. Jej ojciec, mój dziadek Ludwik, był zarządcą folwarku. Mama często opowiadała mi o swoim dzieciństwie, o latach szkolnych, kiedy lekcje religii były podzielone według wyznań: młodzież katolicka szła z księdzem, prawosławni z popem a Żydzi z rabinem... Na kresach społeczeństwo było niezwykle zróżnicowane względem wiary, języka i przynależności narodowej. Opowieści mamy znalazły odzwierciedlenie w barwnych opisach na stronach „Ksiąg Jakubowych” Olgi Tokarczuk, laureatki Nagrody Nobla 2019. Spotykamy tam liczne postacie Ukraińców, Rusinów, Polaków i Żydów. Szkoda że mama nie doczekała czasów tej lektury... mogłaby odnaleźć tam świat swoich dziecięcych lat...

Po wojnie tereny wschodniej Polski zostały przejęte przez ZSRR, a rodzina mamy (pozostały jedynie babcia i siostry mamy, jako że dziadka zabrano na początku wojny i słuch o nim zaginął) przeniosła się do Głucholaz, pięknego miasteczka w południowej części woj. opolskiego.

Wojna zaskoczyła mamę w Warszawie, gdzie poznała mego ojca Tadeusza Zakrzewskiego. Był on synem zamożnego właściciela ziemskiego z okolic Płocka. Nie dane mi było go poznać, podobnie jak i drugiego dziadka... Wszystko co o nich wiem pochodziło z relacji rodzinnych. Dziadek Józef Zakrzewski był prawdziwą nietuzinkową osobowością, wielkim patriotą pełnym odwagi (stronnik Piłsudskiego) i człowiekiem chłonnym wiedzy. Po powrocie z Ameryki, gdzie zapoznawał się z nowoczesnymi metodami rolnictwa, ułatwił wyjazd kilku młodym rodakom widząc dla nich lepszą przyszłość na kontynencie amerykańskim.

Ojciec mój w czasie wojny działał w AK. W 1944 roku, po Powstaniu Warszawskim, został wywieziony do Rosewaldlager, a potem do Tobruklager. Po wyzwoleniu z narażeniem życia brał udział w zdobywaniu Rugii. Wrócił do Warszawy ranny o kulach. Rodzice wzięli ślub tuż po zakończeniu wojny, a ja urodziłam się w 1947 roku.



Dopiero dziś mogę w pełni docenić ogrom pracy i wysiłku mego ojca, który założył i utrzymał po wojnie tak liczną rodzinę, jako że poza żoną i czworgiem dzieci miał jeszcze na utrzymaniu swoją matkę i owdowiałą stryjenkę.

Muszę też podkreślić, iż rodzice podczas wojny, każdy na swój sposób indywidualnie pomagali Żydom, co udokumentowane zostało w książce Anny Poray-Wybranowskiej pt. „Those Who Risked Their Lives”. Autorka była w kontakcie z moją mamą i zebrała jej wspomnienia.

Z dzieciństwa pamiętam powojenne ruiny wokół naszej kamienicy w samym centrum Warszawy. Mieszkaliśmy tam na ulicy Widok, naprzeciw Pałacu Kultury i Nauki, którego budowy byłam naocznym świadkiem.

Ukończyłam Liceum im. Zamoyskiego, przy ulicy Foksal i Smolnej, a na lekcje katechizmu chodziłam do mojej Parafii św. Krzyża przy Krakowskim Przedmieściu. Na przeciwko kościoła mieszkała moja najbliższa przyjaciółka z ławy szkolnej, wnuczka państwa Pomianowskich, właścicieli słynnej cukierni. Do dziś zachowałam, jak zapewne wielu warszawiaków, smak pączków, ptysi, sękacza i mazurków, ich wspaniałych wyrobów.

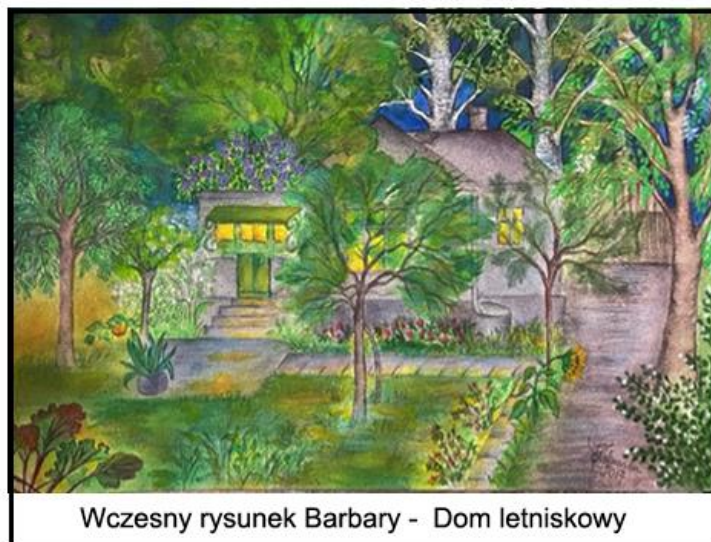
Mimo niewątpliwie trudnych czasów, w tej powojennej zrujnowanej, szarej Warszawie mieliśmy bardzo szczęśliwe dzieciństwo. Rodzicom zawdzięczamy świetną edukację: prywatne lekcje angielskiego i muzyki, no i ukończenie przez wszystkich nas czworga studiów uniwersyteckich. Ale najpiękniejsze wspomnienia, jakie zachowałam do dziś, nie były z Warszawy, lecz z naszego letniego domu w Wołominie.



Dom letniskowy w Wołominie - rysunek Barbary ołówkiem Conte



Dom letniskowy w Wołominie - rysunek Barbary ołówkiem Conte



Nie było tam ruin, tylko wspinała natura: zielone lasy, złociste pola, łąki pełne kwiatów i wrzosów oraz ogromne tereny białych piasków, po których biegaliśmy na bosaka od rana do późnego wieczora...

Od wczesnego dzieciństwa uwielbiałam samotne eskapady na rowerze do lasów z akwarelami i pędzlami. Mogłam tam pogrążyć się w głębokiej ciszy, kontemplować, medytować i rysować. Po powrocie do domu zabierałam się do pracy. Nie byłam odpowiednio wyekwipowana więc brałam wszystko, co miałam pod ręką. Zdejmowałam obrazy ze ścian i malowałam na ich odwrocie: służyła do tego pasta do zębów, węgiel, atrament, kreda, akwarelki szkolne... byleby tylko osiągnąć upragniony cel. Oczywiście kopiowałam wielkich i sławnych jak Van Gogh, czy Picasso... Nie byłam świadoma mej pasji.

Dziwne, wybierając kierunek studiów zaważył jeden epizod z okresu szkolnego, który pozostał w mojej pamięci i co opiszę poniżej. Często się zdarza, iż jakieś, zdawałoby się niepozorne wydarzenie z dzieciństwa, wywiera wpływ na nasze koleje życia. Tak też chyba było w moim przypadku...

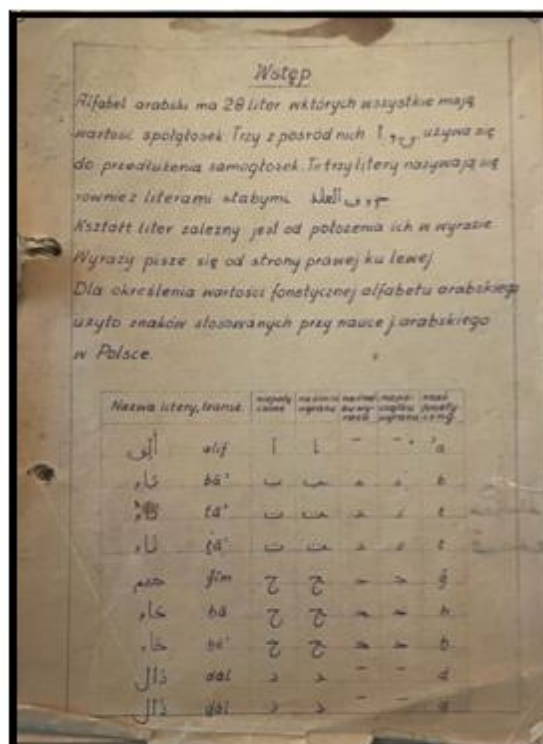
Pamiętam, były to wakacje szkolne... na werandzie w naszym letnim domu w Wołominie, patrzyłam na stryjenkę, która stała nad dużym kufrem, wyciągała z niego różne rzeczy, układała je na stole i płakała. „Czemu płaczesz Nieniu?” – zapytałam. „Stryjek Karol umarł w Anglii, to są jego rzeczy” – odpowiedziała.

Nigdy nie poznałam stryjka Karola, bowiem był wywieziony na Syberię w 1939 roku. Podobno cudem uniknął śmierci i z Armią Andersa dotarł przez Kazachstan, Iran, Bliski Wschód (Liban, Palestynę), Egipt, Afrykę Północną do Anglii, gdzie Polacy pod przywództwem gen. Sikorskiego walczyli o wolną Polskę. Taki był los wielu Polaków w czasie II Wojny Światowej.

Stryj Karol obawiał się po wojnie powrotu do Polski komunistycznej, zmarł w Brighton, a jego rzeczy osobiste zostały przesłane przez Czerwony Krzyż do jego żony w Polsce. Pamiętam jak wyciągałam każdy drobiazg z tego kufra; były w nim medale stryjka, jego zdjęcia, różańce z Jerozolimy, popielniczki z brązu z Egiptu, haftowany pięknymi kolorami fez muzułmański... a w końcu zeszyt... pożółkłe kartki pokryte ręcznym pismem.



Pamiątki po stryjku Karolu



Dokument stryjka Karola

Alif, bā', tā', ṭā'... to piękny alfabet, ale nie nasz... kitab – książka. Czyżby stryj uczył się arabskiego? Jakież to wszystko odległe, ciekawe, tajemnicze... i chyba w tym momencie uwiódł mnie czar Orientu...

Po maturze, tak naprawdę nie wiedziałam jaki konkretnie wybrać kierunek studiów. W końcu zapadła decyzja – arabistyka. Czy podświadome zauroczenie historią stryja Karola, czy też zamiłowanie do sztuki Wschodu i fascynacja tym regionem świata, które nosiłam w sobie od dawna, nasunęło mi intuicyjnie ten wybór? Być może jedno i drugie.

I podobnie jak w przypadku Teresy Kastelik, naszej iranistki z Krakowa („gość wieczoru” SWN # 50), wszyscy wokół mojej mamy zadawali jej pytanie: „no i co pani córka będzie robić po tych studiach?”

Na pierwszym roku arabistyki było nas 12 studentów. Dziś z perspektywy czasu muszę stwierdzić, że wielu z nich, a także wielu z naszych wykładowców zrobiło całkiem niebagatelne kariery. Wymienię tu tylko kilku. Profesor Józef Bielawski dokonał tłumaczenia Koranu. Było to pierwsze tłumaczenie tej świętej księgi islamu na język polski, za które otrzymał odznaczenia Polskiej Akademii Nauk oraz rządu polskiego. Jacek Stępiński, nasz asystent, został ambasadorem Polski w Maroku. Jolanta Jasińska jest obecnie znakomitym znawcą i tłumaczem literatury arabskiej na język polski. Janusz Danecki, nasz dawny asystent, uchodzi za cenionego znawcę świata arabskiego i jest autorytetem w tej dziedzinie.



Mąż Barbary, Hassan Jamali

Na studiach poznałam mego przyszłego męża, który był studentem Politechniki Warszawskiej. Ponieważ z pochodzenia był Syryjczykiem powierzono mu wykłady (*chargé de cours*) z języka arabskiego akurat na moim ostatnim roku studiów.

Obydwoje ukończyliśmy studia w tym samym czasie i z dyplomami w kieszeni, po zawarciu ślubu, wybraliśmy się w drogę do jego ojczyzny, do Syrii. Przejechaliśmy samochodem całą Europę i Turcję.

W Homs, rodzinnym mieście mego męża, zostałam przyjęta przez jego rodzinę niezwykle serdecznie. Fakt, że znałam język arabski i to klasyczny (dialektu syryjsko-libańskiego nauczyłam się na miejscu) sprawił że stałam się tam prawdziwą „atrakcją”. Z ciekawości odwiedziło mnie setki kobiet, a nasza pomoc domowa, Um Afaf nie nadążała z serwowaniem w malutkich filiżankach tradycyjnej kawy arabskiej dla tak licznych gości. Miałam ogromne szczęście że trafiłam do rodziny o wysokim poziomie intelektualnym. Wielu jej członków miało ukończone studia i było wybitnymi osobowościami. Np. stryj mego męża Hafez był ministrem edukacji, następnie ambasadorem Syrii w Egipcie, a potem w Italii. Będąc absolwentem Sorbony zasłynął z autorstwa wielu książek, przyjaźnił się m.in. z Alberto Moravia. Drugi stryj był adwokatem,

właścicielem Aeroflotu w Damaszku. Nie będę tu wymieniać innych znacznych osobistości, lekarzy i sędziów.

Po przybyciu do Syrii zamieszkaliśmy w domu mego teścia, w Homs. Dopiero później przenieśliśmy się do Damaszku, gdzie mój mąż podjął pracę na tamtejszym Uniwersytecie.

Teść był wdowcem; jego dwie żony zmarły, zostawiając mu pięcioro dzieci. Domem zajmowała się Widad, jego bezdzietna siostra, która była nauczycielką. To właśnie ona „matkowała” mi na tym nowym etapie mojego życia. Zabierała mnie ze sobą na rynek (souk), skąd wracałyśmy z pięknymi materiałami na suknie. Chodziło się tam do krawca i zamawiało od razu pantofelki z tego samego materiału. A później już robiła na drutach i szydełku ubranka dla mego syna, który urodził się rok po moim przyjeździe.

To właśnie ona wywróżyła mi z fusów kawy dalsze podróże: „widzę przed tobą samoloty... wiele samolotów, nie zostaniesz tu na długo”.

I miała rację... bowiem już wkrótce lecieliśmy we troje do Francji.

Mój mąż dostał od swojego pracodawcy propozycję kontynuowania studiów we Francji. W Polsce obronił magistra, we Francji pisał się po doktorat.

Osiedliliśmy się w Tuluzie... Mieszkał tam kuzyn mojego męża z jego libańskiej gałęzi rodzinnej, który ożenił się z Francuzką, osiedlił się tam na stałe, pracował w CRNS jako badacz naukowy i miał troje dzieci. Podobnie jak w Syrii gdzie matkowała mi Widad, to tu opiekowała się mną żona kuzyna, Yvette. Jej pomoc była dla mnie istnym błogosławieństwem. Lata pobytu we Francji były dla nas bardzo szczęśliwe. Tuż po przyjeździe do Tuluzy, mimo że zaszłam ponownie w ciążę, zapisałam się na studia na Uniwersytet Mirail. Byłam zafascynowana Francją. Ogromnie pragnęłam poznać piękny język francuski, który otwierał mi drzwi do zupełnie innego świata. Przebywanie u boku rodziny ułatwiało szybką integrację.

Nasz drugi syn urodził się we Francji w 1975 roku. Hassan obronił swą pracę doktorską w dziedzinie elektroniki. Ja natomiast ukończyłam 3-letnie studia uwieńczone dyplomem zezwalającym na nauczanie języka francuskiego.

Okres naszego życia studenckiego dobiegał końca.

Trzeba było myśleć o przyszłości. We Francji nie było łatwo z otrzymaniem pracy. W Polsce, w czasach poprzedzających Solidarność sytuacja społeczno-polityczna była niezwykle napięta. W Syrii, sąsiadującej z Izraelem, po wojnie 1967 (*la guerre de six jours*), po dojściu do władzy autorytatywnego Hafez al-Assada w 1970 i po wypadkach na Olimpiadzie w Monachium w 1972, stawało się coraz niebezpieczniej. Przeczuwałam iż nie powinniśmy tam wracać, ale nigdy o tym nie rozmawialiśmy... Bieg wydarzeń sam utorował nam drogę...

Pamiętam to jak dziś; jak zwykle w Tuluzie było upalne lato, jedna z moich koleżanek ze studiów, Amerykanka, Kari Bell zorganizowała u siebie soirée barbecue. Pochodziliśmy z różnych zakątków świata podejmując studia języka francuskiego.

„Mamy okrążyć stół. Dlaczego nie zrobić seansu spirytystycznego?” – zaproponowała w trakcie wieczoru Kari. Przygotowaliśmy wszystko co należało: ułożyliśmy w koło litery alfabetu, postawiłyśmy szklankę na środku... Duch mówił do nas, o dziwo, bezbłędnym francuskim, układając litera po literze słowa i zdania. Siedziałam cicho, sceptyczna i czekałam by tylko to się skończyło... Raptem, ku memu zdziwieniu duch wypowiedział do mnie następujące słowa: „*Tu vas vivre au Canada et tu vas mourir à Ile Prince Edward*”... Nie wiedziałam nic o Kanadzie, a tym bardziej o Wyspie Księcia Edwarda.

Minęło kilka dni... Jeden z kolegów mego męża zwrócił się do nas z prośbą o podwiezienie go do Bordeaux, gdzie w Konsulacie Kanadyjskim miał rendez-vous w związku z zamiarem wyemigrowania do tego kraju.

Nigdy nie byliśmy w Bordeaux. „Warto zwiedzić” – powiedział Hassan, więc zgodziliśmy się natychmiast. W biurze konsularnym, w czasie gdy nasz kolega został wywołany, zostaliśmy w poczekalni, gdzie dzieci mogły się zająć przeglądaniem kolorowych folderów o Kanadzie. Raptem podszedł do nas wysoki, niebieskooki mężczyzna, który zaczął z nami rozmawiać... Do dziś pamiętam jego nazwisko... Albert Morin. Opowiedzieliśmy mu o sobie, o naszych studiach, a na koniec powiedzieliśmy mu gdzie mieszkamy w Tuluzie.” O to świetnie, jutro właśnie będę w waszej dzielnicy, z drugiej strony kanału, w Hotelu X... może moglibyście wpaść do mnie na kawę? – zaproponował. Nazajutrz Monsieur Morin przyjął nas nie tylko kawą, ale także stertą formularzy... Później pracując w Ministerstwie Emigracji w Montrealu zrozumiałam, że M. Morin od razu zauważył w nas doskonałych kandydatów na emigrację; byliśmy młodzi, z małymi dziećmi, wykształceni, no i mówiący po francusku. M. Morin „polował” właśnie na taki narybek. Byliśmy przyjęci do Kanady w kategorii ND2 (comme indépendants).

Pochowawszy mego ojca w Polsce wylądowałam z dziećmi w Montrealu zimą, na początku 1978. Hassan, który przybył tu wcześniej miał już pracę i wynajęte mieszkanie. Otworzyłam telewizor. „*Mon Dieu*, nic nie rozumiem... i to ma być język francuski?” wykrzyknęłam do męża... Nie martw się – odpowiedział Hassan – z czasem się przyzwyczaisz.

Nasze początki w Montrealu nie były zbyt trudne. Mój mąż rozpoczął wykłady w CEGEP-ie w dziedzinie elektroniki a także w innych instytucjach.

Ja również zaczęłam stawiać pierwsze kroki... W latach 1978/79 pracowałam w Conseil de Civisme, organizacji nielukratywnej, która zrzeszała niemal wszystkie etniczne organizacje montrealskie. Był to dla mnie świetny start zawodowy.

Z początkiem lat 80-ych do Montrealu przyjechało na stałe wielu Polaków. Rząd federalny Kanady i prowincjonalny Quebecu otworzył specjalny program dla naszych rodaków. Poszukiwano zatem tłumaczy. Wtedy intensywnie pracowałam jako tłumacz dla Immigration Canada, a szczególnie w latach 1982-85, gdy wraz z urzędnikami emigracji federalnej pomagaliśmy w osiedlaniu się w Montrealu polskim emigrantom. Większość z nich przybyła na sponsorat rządowy (kategoria DC3), w ramach specjalnego programu tzw. *projet polonais*.

Jako tłumacz udzielałam się też w innych instytucjach, takich jak Tribunal de la Jeunesse, Palais de Justice, Cour Municipal, Régie de Loyer, bureaux des avocats etc.

Praca w charakterze tłumacza niewątpliwie ułatwiła mi później zatrudnienie w instytucji rządowej. W 1984 podpisałam kontrakt z Ministère d'Immigration et des Communautés Culturelles du Québec.

Pozwoliło mi to na szybszą integrację i głębsze poznanie mojego nowego kraju.

Ale tak naprawdę praca w charakterze tłumacza i później praca urzędnicza w biurze nie dawały mi pełnej satysfakcji. Owszem, lubiłam i ceniłam pewne ich aspekty takie jak kontakty z ludźmi, obeznanie z tutejszym prawem i praktycznymi stronami życia, poznanie społeczeństwa północno-amerykańskiego. Oczywiście, byłam świadoma korzyści jakie czerpałam z tej pracy, ale ciągle marzyłam o czymś zupełnie innym; zawsze pasjonowała mnie literatura, filozofia, sztuka. Spędziłam 5 lat studiów na wydziale nauk humanistycznych, pragnęłam więc powrócić do tego, kontynuować i dzielić się moją wiedzą z innymi.

Byłoby to możliwe gdybym mogła wykładać – mieć kontakt z młodzieżą. Zdawałam sobie jednak sprawę, że to marzenie jest praktycznie niemożliwe do zrealizowania.

Nie pamiętam już jakim cudem zapukałam do drzwi Uniwersytetu Montrealskiego, które nieoczekiwanie otworzyły się przede mną na oścież. W departamencie des Études Anciennes et Modernes akurat wprowadzono w sekcji Études Arabes nowy wykład – „literatura arabska”. Zostałam zaproszona na spotkanie z założycielem i kierownikiem tej sekcji, profesorem Baghatem Korani, który był Egipcjaninem. Moja praca magisterska akurat dotyczyła Egiptu, jako że poświęcona była szyickiej ismailijskiej dynastii Fatymidów, która to panowała w tymże kraju od 909 do 1171. Rozmowa toczyła się więc wokół tego tematu, ale wkrótce zeszła na inne tory. Mój rozmówca zapytał, jak się czuje prof. Bielawski, którego poznał niedawno. Faktycznie mój dawny profesor z Polski, Józef Bielawski, założyciel i kierownik departamentu arabistyki Uniwersytetu Warszawskiego w czasie swojej wizyty u nas, w Montrealu odwiedził wielu tutejszych orientalistów (McGill Islamic Studies oraz Études Arabes Univ. MTL) i między innymi bardzo miło wspominał ciepłe przyjęcie profesora Baghata Korani...

Po powrocie do domu dostałam telefon od profesora Koraniego „*Mme Jamali, Vous avez la carte blanche pour organiser votre cour de littérature arabe... pouvez-vous commencer la prochaine session?*”

J'étais folle de joie... Je me suis mise au travail... j'ai commencé à passer des longues heures plongées dans les livres à la Bibliothèque Universitaire.

Ensuite c'est UQAM qui m'a contacté pour m'offrir un autre cour, Histoire et Civilisation du monde arabe.... Mon rêve s'est réalisé. J'ai obtenu impossible: moi, Polonaise, j'allais enseigner les Québécois à Montréal sur le monde arabe...

Wykładałam w sumie na tych dwóch uniwersytetach od 1981 do 1993 roku.

Rozpoczęłam nawet pracę doktorską na McGill-u (Islamic Studies), ale szybko zaniechałam tej drogi. Przerwałam wykłady i karierę naukową, nie mogąc dłużej jednocześnie kontynuować tych dwóch prac, jako że wykładając otrzymywałam bez przerwy kontrakty w Ministerstwie. W końcu postanowiłam przejść na cały etat do Ministerstwa. Decyzja ta okazała się później dla mnie zbawienna, gdy po rozwodzie mogłam cieszyć się niezależnością finansową. Praca na Uniwersytecie nie dawała by mi takiej możliwości.

Moje studia orientalistyczne zaważyły ogromnie na przebiegu mojego życia. Wkroczyłam w inny, odległy krąg cywilizacji, następnie życie już samo poniosło mnie na cztery kontynenty... Dziś mam poczucie, że wyszłam z tego bardzo wzbogacona... Oto kilka myśli, którymi chciałabym się z Państwem podzielić na końcu tej mojej, długiej drogi.

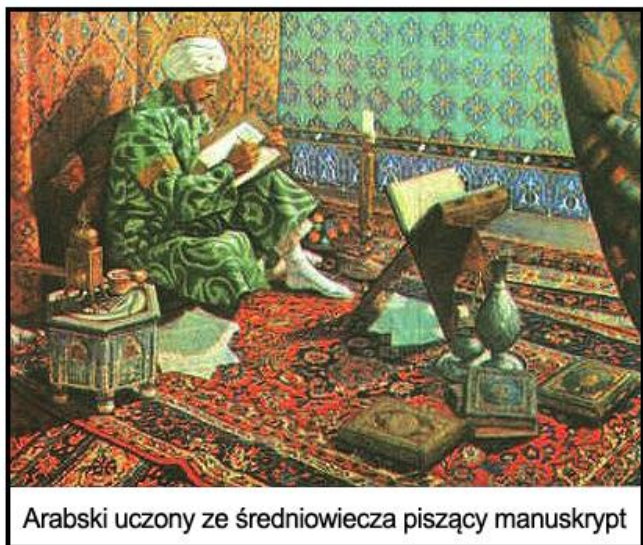
Jesteśmy, podobnie jak drzewa, silnie przywiązani i uzależnieni od naszych korzeni. Drzewo pozbawione korzeni umiera. W obecnych czasach, gdy nasz świat staje się coraz mniejszy, gdzie wszyscy jesteśmy coraz to bardziej pomieszani, a szczególnie gdy coraz bardziej zdajemy sobie sprawę, że oddychamy tym samym powietrzem, że nie ma granic w naturze, musimy dojść do wniosku, że pojęcie korzeni, które kiedyś ograniczało się do rodziny i do kraju obecnie należałoby poszerzyć. Studiowanie dawnych cywilizacji, między innymi, rozszerza nasze horyzonty, ułatwia nam zrozumienie współczesnego świata, pozwala nam ocenić jak wiele zawdzięczamy naszym odległym w czasie i w przestrzeni przodkom. Orientaliści, choć nieliczni, są obecnie coraz bardziej potrzebni i coraz bardziej niezbędni. To oni właśnie dzięki znajomości historii, dzięki zrozumieniu religii i mentalności społeczeństw różnych kręgów cywilizacyjnych, potrafią właściwie naświetlić przyczyny aktualnych konfliktów na arenie międzynarodowej.

Nasza obecna cywilizacja wyrosła na gruncie doświadczeń naszych przodków z przed tysięcy lat. Wiadomo że cywilizacje powstają, dochodzą do szczytu, upadają, a na ich miejsce rodzą się nowe... Będąc arabistką, chciałabym tu podkreślić doniosłość i znaczenie cywilizacji arabskiej, powiedzieć ile jej zawdzięczamy.

Musimy wiedzieć, że były czasy gdy świat arabsko-muzułmański wyprzedzał Europę. Między VII a XI/XIII wiekiem od Indii, przez Bliski Wschód, Afrykę Północną aż po Andaluzję w Hiszpanii, powstało rozległe imperium arabskie, w którym rozkwitała wysoka wówczas kultura. Po tzw. „*miracle grecque*” w Starożytności, nastąpił „*miracle arabe*” w Średniowieczu.

Role się zatem zmieniają; podczas gdy Arabowie byli *à la fine pointe de modernité*, Europa była jeszcze zacofana. Świadczą o tym liczne źródła, między innymi z okresu wypraw krzyżowych (pamiętniki Usama ibn Munqidha) potwierdzające przepaść między tymi dwoma światami...

Podczas gdy chrześcijaństwo w Średniowieczu odnosiło się podejrzliwie do wszelkich nowych prądów zarówno w dziedzinie nauk humanistycznych jak i w dziedzinie nauk ścisłych, świat muzułmański przeciwnie był otwarty, popierał rozwój nauk zgodnie z zaleceniami proroka, który mówił „atrament uczonego jest bardziej święty niż krew męczennika” lub „czerp wiedzę nawet jeśli pochodziłaby z Chin”.



W imperium arabskim nastąpił początek rozwoju takich nauk jak astronomia, matematyka, fizyka, chemia, filozofia, geografia, botanika i inne. Rozkwitała sztuka. Był to okres w którym Arabowie, dzięki niezwykle przebiegłym posunięciom politycznym, stworzyli jedną z największych cywilizacji świata.

W ich rozległym imperium panowała relatywna tolerancja dla innych wyznań. Nakazy Koranu zalecały poszanowanie dla posiadaczy pism świętych (Ahl Kitab). Dlatego też Żydzi i Chryścijanie mogli spokojnie kultywować swoją wiarę pod warunkiem wniesienia

pewnych opłat.

W przeciwieństwie do Mongołów, którzy bezlitośnie niszczyli zagarnięte kraje, Arabowie podbiwszy wiele starszych cywilizacji (Bizancjum, Persja) korzystali z ich zdobyczy i udoskonalali je. Tłumaczyli dzieła z języka greckiego, syryjskiego, aramejskiego, perskiego. To im zawdzięczamy znajomość filozofii greckiej, dzieł Arystotelesa, Platona i innych.

Jest to chyba jedno z największych dokonań jakie przekazali nam Arabowie, jako że *humanités grecques* stały się, obok judeo-christianizmu podstawą naszej współczesnej cywilizacji.

Język arabski, język potężnego imperium o wysokiej cywilizacji stał się w tych czasach językiem dominującym; naukowcy, filozofowie, artyści obojętnie czy byli Persami, Berberami,

Żydami, mieszkańcami Egiptu, Andaluzji czy Iraku posługiwali się arabskim, chcieli nim władać, w nim żyć i w nim tworzyć. Jego rolę można porównać do łaciny w średniowiecznej Europie, a potem do francuskiego, czy dziś do angielskiego.

Szkoda, że u schyłku tego wspaniałego okresu islam (orthodoxie sunnite) przejął surową kontrolę nad wszelkimi obcymi wpływami w celu ochrony własnej domeny prawa i religii, tamując wszelki postęp.

Od XI wieku świat arabski zaczął pograżać się w głębokim śnie, w którym trwa do dziś. W świecie tym nie było i nie ma rozdziału między władzą religijną i świecką. Islam i *dawla* (państwo) to jedno i to samo. Stało się to jednym z powodów stagnacji, a brak demokracji, która jest sprzeczna z islamem, doprowadził do zacofania społecznego i gospodarczego całego świata islamskiego.

A teraz kilka ciekawostek. Czy wiecie, że to właśnie Arabom zawdzięczamy słowo „alkohol”? Słowo alkohol (al-kuhl) początkowo oznaczało puder do malowania oczu (zresztą do dziś też to oznacza). Z czasem zaczęto używać tego słowa jako nazwy produktu destylacji. Alkohol trafił za pośrednictwem Maurów do Hiszpanii, a potem do całej Europy.

Słowo algebra (al-jabr) wiązało się z medycyną i oznaczało pierwotnie złożenie złamanych kości. W matematyce, drogą analogii, ułamki sprowadzamy do wspólnego mianownika.

Słowo czek pochodzi z arabskiego (sak) i jest arabskim wynalazkiem ułatwiającym karawanom handel. Karawaniarze nie musieli przewozić pieniędzy na grzbietach wielbłądów i narażać się na niebezpieczeństwa.



Słowo cukier (sukkar). To właśnie Arabowie przywieźli do Europy cukier. Przedtem w Europie słodziło się miodem.

I tu można by podać masę przykładów, czego nauczyl nas Arabowie. Wymienię tu tylko kilka: obróbka metali, produkcja różnorodnych tkanin i dywanów, fabrykacja serów oraz znajomość ziół i przypraw, a przede wszystkim, w dziedzinie medycyny, leczenie wielu chorób, nad czym nie będę się tu rozwodzić.

Czy wiecie że operację katarakty zawdzięczamy Avicenne, lekarzowi z X wieku, który dzięki swym licznym odkryciom jest do dziś uważany za ojca współczesnej medycyny.

Czy wiecie, że Arabom zawdzięczamy *amour courtois*?

Przykłady tej filozofii miłości, tego sposobu kochania, odkrywamy najpierw w średniowiecznej Europie, w śpiewach trubadurów, a potem rozwijają

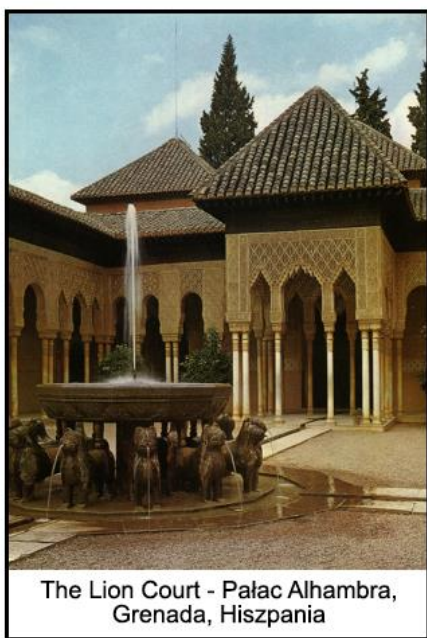
się one w późniejszej Europie (dobrze znane nam z literatury są pary kochanków jak Romeo i Julia, Petrarca i Laura, Tristan i Izolda).

Ale skąd wywodzą się te wzory?

Z kultury arabskiej, jako że w literaturze arabskiej istniały już wcześniej podobne modele miłości wśród par, u takich kochanków jak np. Majnoun i Laila, Jamil i Bouthayna, Kourhair i Azza.

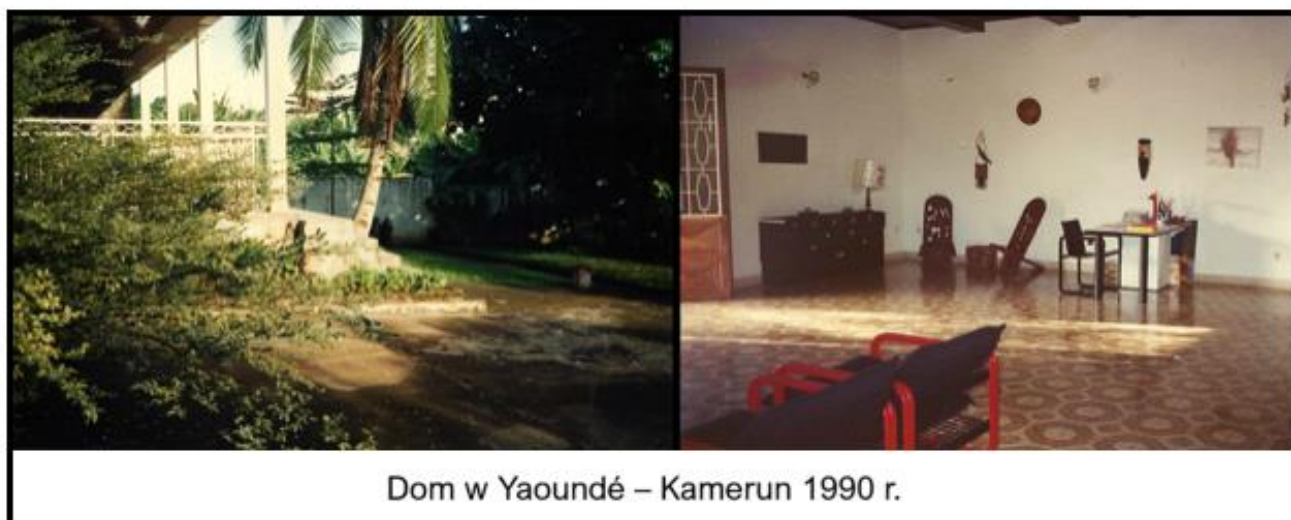
Później już, w XI wieku, Ibn Hazm w Andaluzji poświęcił temu tematowi swe dzieło „Naszyjnik Gołębic” (*Tawq al hamamah, El Colar de la paloma, Le Collier de la colombe*) – traktat o miłości w którym zaleca szacunek, wierność i uczciwość, na czym powinna polegać prawdziwa miłość. Ta filozofia miłości z hiszpańskiej Andaluzji była prawdziwą inspiracją dla trubadurów, którzy swymi śpiewami propagowali ją w średniowiecznej Europie pod nazwą *amour courtois*.

Nie sposób by nie wspomnieć tu trwającego 7 wieków okresu andaluzyjskiego w historii Arabów w Hiszpanii. Okres ten, będący jednym z najpiękniejszych rozdziałów w historii świata, zapisał się na trwałe w dziejach muzułmanów i powinien, szczególnie dziś, być dla nas przykładem.



Był to okres SYNKRETYZMU, kiedy to Arabowie, Żydzi i Chrześcijanie żyli w zgodzie i współpracowali w pokoju, harmonii i dobrobycie. Jeśli ktokolwiek odwiedził Andaluzję, z pewnością mógł obejrzeć naocznie pamiątki z tego okresu, które wymownie świadczą o wspaniałych osiągnięciach we wszystkich dziedzinach ówczesnego życia.

W 1990 mój mąż otrzymał kontrakt do pracy w Afryce z ramienia ACDI (Agence Canadienne pour Développement Internationale) na wykłady z elektroniki na Uniwersytecie w Yaoundé. Przybyliśmy do Kamerunu z naszymi synami i zaczęło się dla nas czworga znowu zupełnie nowe życie. Otrzymaliśmy, jak wszyscy tam Kanadyjczycy, dużą willę z ogrodem oraz do dyspozycji dwóch tubylców, których mieliśmy zatrudniać do pracy w domu i w ogrodzie. Wydawało mi się to wszystko zbyt wielkim luksusem.



Mój mąż wytłumaczył mi jednak, iż jest to taki zwyczaj i dając pracę tym ludziom zapewniamy byt ich licznym rodzinom. W przeciwnym razie nasze bezpieczeństwo mogło by być zagrożone.

Nasi synowie zostali przyjęci do tamtejszej szkoły o systemie francuskim, co zmusiło nas do udzielania im korepetycji (różnica między systemem francuskim i kanadyjskim była dla dzieci dość trudna do pokonania).

Nagle pojawił się problem dotyczący naszego starszego syna: do matury w systemie francuskim potrzebna była znajomość dwóch języków obcych.

Adnan znał tylko angielski. „Mamo, a polski?” – zapytał. Zamarłam ze strachu, wiedząc, że znajomość języka polskiego obydwóch mych synów jest bardzo słaba. „Mamy przed sobą rok, ty mnie nauczysz polskiego” zdecydował mój syn. Na egzamin maturalny z polskiego musiał lecieć do Francji; w Kamerunie nie było egzaminatora... Zdał. Byłam uszczęśliwiona.

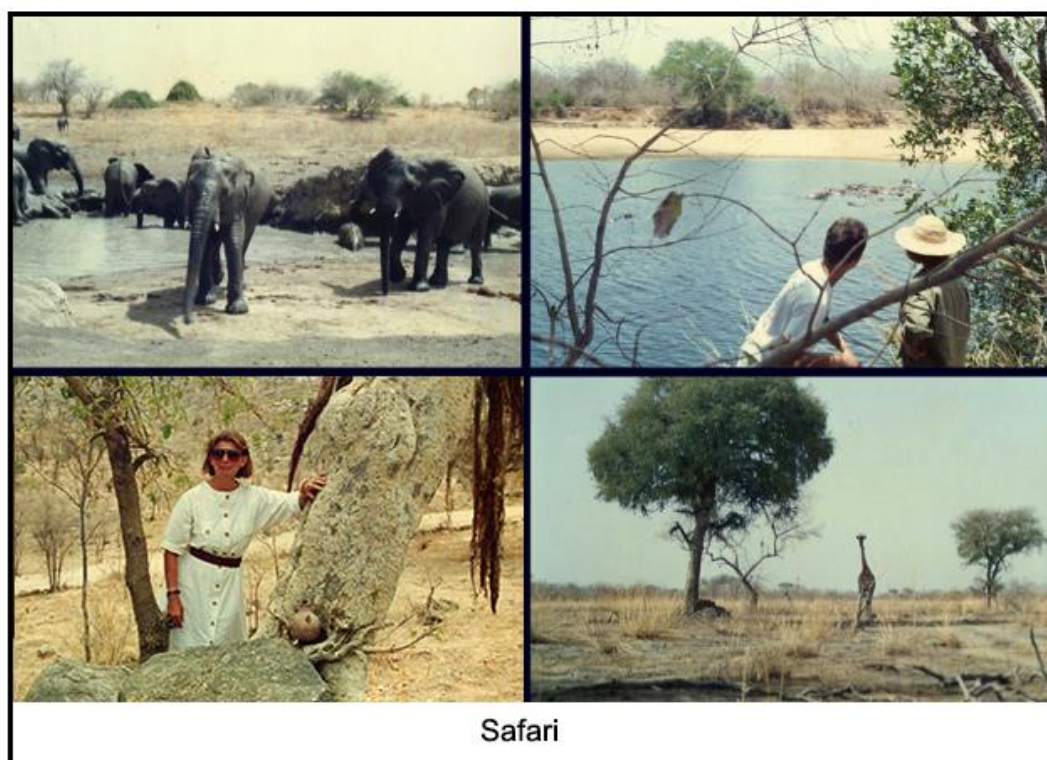
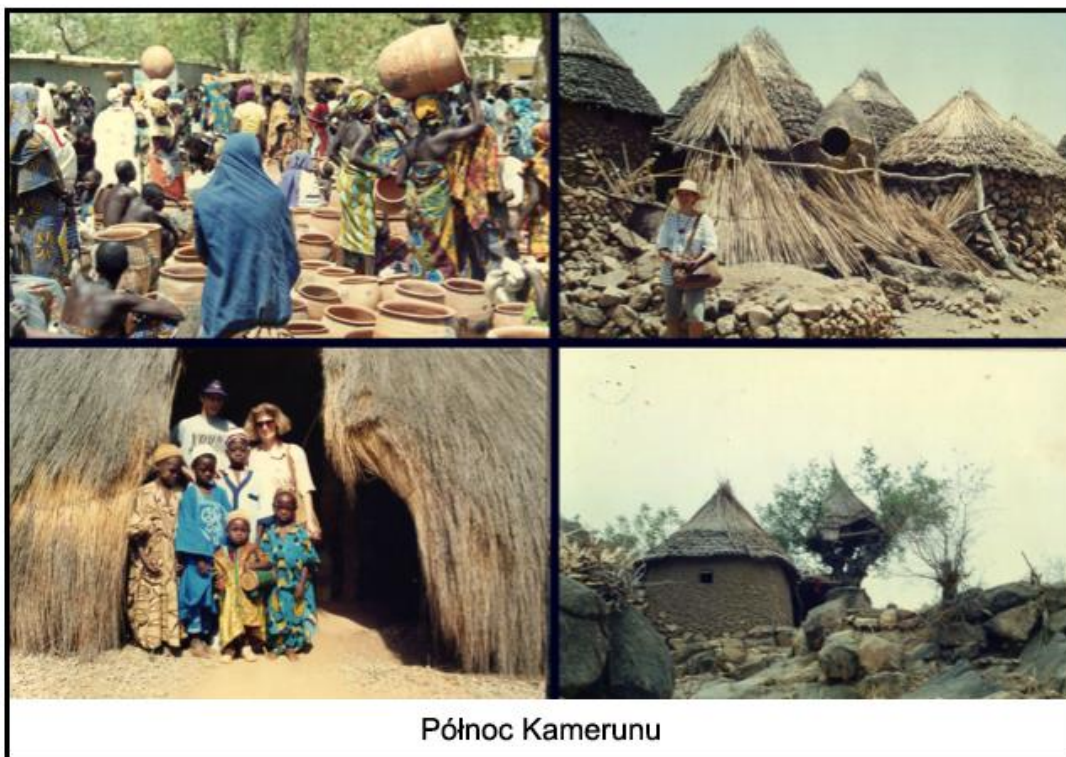
Ja także pracowałam w Yaoundé. Dosłownie tuż po przyjeździe zaproponowano mi pracę w tamtejszej francuskiej szkole podstawowej. Dostałam klasę dwujęzyczną (*CP bilingue*) małych dzieci w wieku 6, 7 lat, różnych narodowości, z rodzin dyplomatów i pracowników zagranicznych będących w Afryce na placówkach. Był to niezwykle zabawny, kolorowy okres w moim życiu. Z pracownika naukowego uniwersytetu wylądowałam w klasie ucząc maluchów. Pracując z nimi miałam swobodę w realizowaniu swojej kreatywności.



École "Flamboyant"

Mimo pracy w szkole, mając dwóch „boyów” do pomocy w domu, miałam doskonałe warunki do malowania. W szkole „Flamboyant”, w której pracowałam, pod koniec roku zorganizowano wystawę moich prac. Były one poświęcone szczególnie pejzażom natury afrykańskiej. Nic mi prawie nie pozostało z tej wystawy, bowiem rodzice moich uczniów chcieli mieć pamiątkę po ich nauczycielce.

Z najciekawszych wspomnień z Afryki, jakie zachowałam w pamięci, była nasza podróż na północ Kamerunu, Ngaoundere, Garwa, Marwa... Są to regiony, do których nie dotarła żadna cywilizacja.



Nie ma tam ani betonu, ani plastiku, ani nawet gwoźdźcia... tylko sama dzika natura. Domy to lepianki, albo rodzaj drewnianych szałasów konstruowanych na drzewach. Często nie widać

ani żdźbła zielonej trawy, jest tylko czerwona wypalona słońcem ziemia. Trudno nam sobie wyobrazić warunki w jakich ludzie tam żyją. Po drodze, gdy mój mąż skaleczył się poważnie w nogę, uratowała nas polska misja chrześcijańska, która była tam istną oazą na pustyni: mój mąż został opatrzony, dostał zastrzyk *tétanos*, co w tamtych warunkach przy temperaturze 40 stopni ciepła niechybnie uratowało mu życie.

Byłam bardzo smutna powracając do Yaoundé, gdzie piętno naszej cywilizacji było już widoczne, tylko że w nie najlepszym wydaniu. O ileż piękniejsze wydawały się lepianki na północy w porównaniu z bidonvilles w Yaoundé.

Nasz powrót do Montrealu był dla mnie ponownym szokiem; było tu mi raptem za głośno, za gwaro... samoloty, samochody, telewizja, telefony, zmiana rytmu życia... wszystko to w pierwszych dniach mnie irytowało, ale szybko powróciłam do dawnego trybu życia.

Tu chciałabym przypomnieć obchody Dnia Niepodległości w Konsulacie Generalnym RP w Montrealu w 2008 roku. Miałam w moim atelier bardzo dużo namalowanych kwiatów, w tym maków w dużych formatach. Konsulat, wówczas mieszczący się przy Pine Ave., był bardzo przestronny i bez problemu można było wystawić tam moje obrazy. Po ich obejrzeniu, nasi konsulowie, Marysia i Włodek Zdunowscy zaproponowali mi udekorowanie sali recepcyjnej w dniu Święta Niepodległości. Jestem do dziś niezmiernie wdzięczna konsulatowi za umożliwienie mi wyeksponowania mych prac oraz za pomoc w organizacji tej imprezy. Nie tylko główna sala, ale i inne pomieszczenia zostały obwieszone moimi obrazami. Przygotowałam na ten dzień też małą prelekcję... zarys z historii Polski i droga do uzyskania niepodległości w 1918 roku. Z uwagi na to że dużo zaproszonych gości nie znało języka polskiego postanowiłam mówić po francusku. Ponieważ pracowałam w Ministerstwie, w środowisku frankofońskim i zaprosiłam wielu mych kolegów, uważałam za stosowne by odegrać przed nimi rolę „ambasadora polskości”, oczywiście za zgodą konsulów. Dekoracja obrazami pozostała jeszcze pewien czas i towarzyszyła następnemu spotkaniu w Konsulacie, tym razem z żoną Witolda Gombrowicza, Mme Ritą Labrosse, która po śmierci męża zajęła się pieczołowicie jego spuścizną literacką. Było to niezwykle interesujące spotkanie.



Ogród Kwiatowy

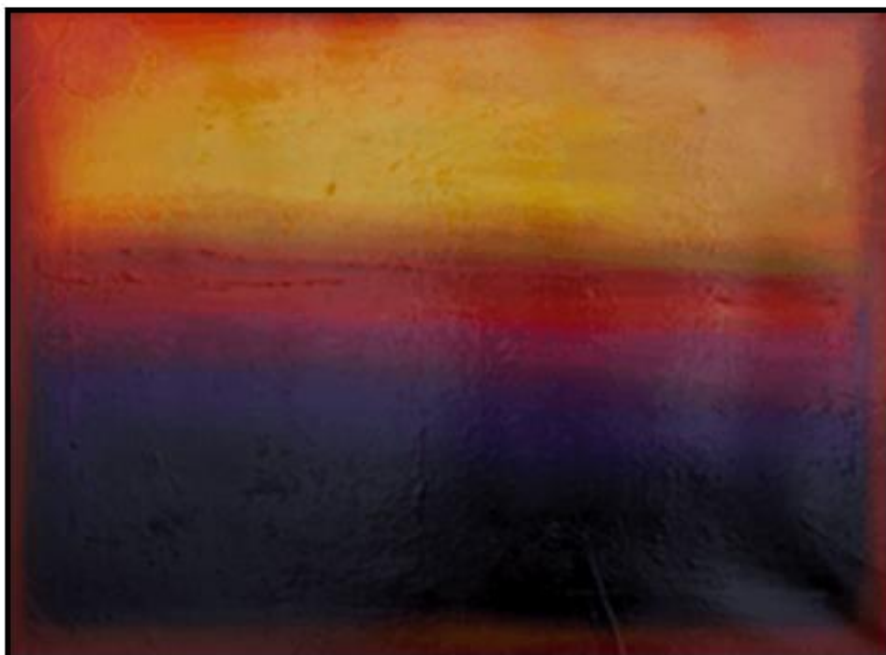
A teraz kilka słów o moim malarstwie. Jestem kompletnym samoukiem, wiernym mej pasji niemalże od dzieciństwa. Interesują mnie różne techniki i różne tematy, ale moje ulubione... to natura, drzewa, owoce, kwiaty, pejzaże, barwne abstrakcje. Natomiast nigdy nie interesowało mnie malarstwo figuratywne. Moja przyjaciółka, Dorota Kozińska, która jest krytykiem sztuki zdefiniowała mnie chyba najlepiej. Zacytuję jej słowa: „Sztuka Barbary jest instynktowna i eklektyczna. Wszystko stanowi pokarm dla jej niespokojnej wyobraźni”.



Dom w Aix - En - Provence



Krajobraz Toskanii



Abstrakcja # 5



Gruszka Naiwna



Gruszka dla Lisy



Mój Wielki Mak

Nade wszystko lubię eksperymentować, jestem prawdziwym „*touche à tout*”... Nie boję się mieszania farby olejnej z kolorowym piaskiem z Toskanii, czy południa Francji. Ostatnio ukończyłam dwie duże prace używając elementów organicznych: są tam ziarna kawy, maku, sezamu, plastry z uli dzikich pszczół przywiezione z Meksyku, etc. Nie jestem malarzem zawodowym, nie wystawiam w żadnej galerii. Owszem, miałam kilka ekspozycji, ale były to wystawy sporadyczne.

Na postawioną przez pana Jerzego Adamuszka domyślną tezę „że każdy odwiedzając Pani dom jest zauroczony nie tylko Pani pracami, ale również ilością i jakością różnorodnych eksponatów, nagromadzonych przez lata” – mogę odpowiedzieć twierdząco: „Tak”. Przedmioty mają dla mnie ogromną wartość, szczególnie emocjonalną. Dlatego wszystko, co nagromadziłam przez lata, ma swoją historię. Jest u mnie nieco Polski, nieco Syrii, nieco Francji i Afryki no i oczywiście Kanady. Żyłam na 4 kontynentach i wszędzie gdzie mieszkałam, zostawiłam kawałek mego serca.

A teraz nieco o moich synach, wnukach i mojej rodzinie.



Mam dwóch synów, którzy są dziećmi méléngu, mają dwa imiona, arabskie i polskie: pierwszy syn urodzony w Damaszku – ADNAN JAN, drugi urodzony we Francji MARC FIRAS.

Staraliśmy się oboje z mężem przekazać im naszą miłość i dobre walory, dawać dobry przykład i dbać o ich zdrowie i ich wykształcenie.

Sprawy wyznaniowe nie były nigdy w domu poruszane, ale przekazaliśmy synom dużo informacji światopoglądowych. Obchodziliśmy święta Noël i Pâques, zgodnie z tradycją, jako że większość naszego życia toczyła się w krajach chrześcijańskich, w Polsce, Francji, Kanadzie.

Moja mama była osobą bardzo wierzącą, ale zarazem otwartą. Moje dzieci były do niej ogromnie przywiązane i zapewne to od niej najwięcej przejęli. Dziś moi synowie są dorosłymi mężczyznami, założyli rodziny, mają domy, żony, dzieci i dobre prace. Jestem z nich bardzo dumna.

Moi wnukowie, a mam ich pięcioro, są jeszcze większym *mélange*m, bowiem mają krew słowiańską po babce, semicką po dziadku, a romańską po ich matkach, jako że moi synowie ożenili się z Francuzkami. Można powiedzieć, że moja rodzina odzwierciedla obraz współczesnej epoki; nasz dzisiejszy świat zbudowany przez powojenne pokolenia, udostępnił nam szybkie i łatwe środki transportu przyspieszając i ułatwiając mieszanie się narodów, małżeństw, języków i ras. Kiedyś żeniono się – mówiąc kolokwialnie przez miedzę, ale te czasy się skończyły. Małżeństwa mieszane nie są już wyjątkiem. Mój najstarszy syn skończył ekonomię na Uniwersytecie McGill w Montrealu, a następnie *École Supérieure des Sciences Économiques et Commerciales* w Paryżu. Pracował w dziedzinie finansów w licznych przedsiębiorstwach (m.in Alstom) i często był wysyłany na różne misje w Europie w Ameryce Północnej, Południowej i na Maghrebie (między innymi do takich krajów jak Francja, Polska, Kanada, Meksyk, Algieria). Obecnie mieszka i pracuje na Miami gdzie się osiedlił z żoną i trojgiem dzieci. Ich najstarszy syn, Adrien studiuje od kilku lat *business-administration* na Uniwersytecie Concordia w Montrealu i jest to jedyny mój wnuk którego mam blisko.

Mój młodszy syn jest inżynierem, ukończył wydział automatyzacji pracy na UQAM. Pracuje w swym zawodzie i wykłada. Mieszka z żoną i dwojgiem dzieci na południu Francji.

Muszę dodać, że cała moja najbliższa rodzina znalazła się na kontynencie amerykańskim. Ja byłam pierwsza, która tu wylądowała i pociągnęłam za sobą całą resztę. Oczywiście, głównym powodem tej emigracji była ówczesna sytuacja w Polsce. Były to czasy poprzedzające ruch Solidarności. Mój brat, Wojciech pełnił stanowisko głównego redaktora Państwowych Wydawnictw Rolniczych i Leśnych w Warszawie. Nie był nigdy partyjny. Działał w Solidarności, za co był prześladowany i więziony. Sam zwrócił się do mnie o ułatwienie mu emigracji.

Na szczęście byliśmy w stanie go sponsorować, a i potem całą resztę. Ostatnia sponsorowana została moja mama, której po śmierci ojca nie chciałam zostawić samej w Warszawie. Otrzymała „*statut de résident permanent*” w 1989 roku i mieszkała ze mną w Montrealu aż do śmierci do 1 lipca 2014 r. Była filarem naszej międzynarodowej rozproszonej po świecie rodziny.

Niektórzy jej członkowie wpisali się w dorobek życia kulturalnego i naukowego w Ameryce Północnej. Wymienię tu tylko kilku tych najbardziej zasłużonych. Moj brat Wojciech Zakrzewski, który został wspomniany powyżej, przybył do Kanady w 1984 r. z żoną i trzema córkami z tytułami doktorów. Zrobił studia post doktoranckie w Edmonton, Alberta, a następnie otrzymał pracę w Ontario Forest Reserch Institute, a także pełnił funkcję adiunkta

profesora na Faculty of Forestry of the University of Toronto. Dokonał ważnych osiągnięć w pracy naukowej w dziedzinie leśnictwa. Stał się też ekspertem od ochrony środowiska na skalę międzynarodową. Figuruje wśród wybitnych obywateli Kanady polskiego pochodzenia.

O jego córce Berenice można by długo opowiadać, jako że było to cudownie utalentowane dziecko. Koncertowała już od wieku 6 lat, w wieku 9 lat występowała jako solistka z orkiestrą symfoniczną w Sault Ste. Marie. Zdobywała nagrody w licznych konkursach muzycznych, a największym jej sukcesem było zdobycie I-ej nagrody na Międzynarodowym Konkursie dla młodych talentów w Aspen Colorado w Stanach Zjednoczonych, gdzie reprezentowała Kanadę wykonując *Piano concerto #3* Beethovena. Po tym sukcesie Berenika otrzymała honorowe obywatelstwo Stanów Zjednoczonych, gdzie obecnie mieszka z całą rodziną (jej matką i siostrami). Kariera artystyczna Bereniki sięgała od Montrealu, Edmonton, Sault Ste. Marie, daleko poza granice Kanady, po Japonię, Indie, Nowy Jork, Londyn, gdzie grała dla królowej Elżbiety II, na zgromadzeniach Commonwealth-u i innych ważnych uroczystościach. Została doceniona też w Polsce, we własnym kraju, gdzie zaproszona przez Krzysztofa Pendereckiego dała liczne koncerty i zrobiła liczne nagrania.

Berenika dziś niestety nie kontynuuje swej kariery artystycznej, ukończyła prawo i pracuje obecnie jako adwokat w Stanach Zjednoczonych.

Kinga Zakrzewska, jej siostra, żyje i pracuje dziś także w Stanach jako neurochirurg w Nowym Jorku.

Michał Zakrzewski, mój drugi brat, polonista z wykształcenia, mieszkający obecnie z rodziną w Ontario, miał zawsze zamiłowanie do sztuki. Píše piękne wiersze oraz gra amatorsko w teatrze przy Polskim Centrum Kultury im. Jana Pawła II w Toronto (m.in. grał ostatnio w komedii pt. „Grube Ryby” Bałuckiego oraz „Wicek i Wacek” Przybylskiego).

Wspomnę tu także Rafała, syna mojej siostry Małgorzaty, jedyne go członka rodziny pozostałego w Polsce. Rafał, absolwent Akademii Muzycznej w Warszawie, skomponował ostatnio muzykę do filmu „Dom pod Dwoma Orłami” (film o Wrocławiu lat 1918-1997), który cieszy się w Polsce dużym powodzeniem. Rafał ze swym zespołem „Goya” uzyskał też nagrodę za najlepszą płytę POP w 2005 r. i kontynuuje swoją karierę muzyczną.